TOŻSAMOŚĆ · #POLITYKA NARODOWA

WITAJCIE W LIBERALNEJ NIEDEMOKRACJI

Remigiusz Okraska · 21 czerwca 2026

Na naszych oczach powstaje system totalnego panowania oligarchicznej elity władzy i pieniądza. Widoczny już jego zarys każe sądzić, że sytuacją docelową miałby być „liberalizm bez demokracji".

Celem, niekoniecznie wprost pomyślanym, lecz wynikającym z samej logiki i trajektorii działań obecnego systemu oraz układu sił i nastrojów wśród władców tego porządku, jest totalna krajowa, kontynentalna, a nawet częściowo globalna dominacja liberalnych elit politycznych oraz powiązanego z nimi wielkiego biznesu. Proces ten dokonuje się przy wsparciu podmiotów pozwalających na stworzenie mirażu jego naturalności i legitymizacji społecznej: „wolnych mediów", „niezależnych instytucji", „organizacji pozarządowych", środowisk medialnych i opiniodawczych – czyli podmiotów i grup niepochodzących z jakiegokolwiek demokratycznego wyboru. Zmniejszać ma się natomiast rola faktycznego głosu społeczeństwa, rzeczywistego demokratycznego głosowania, spontanicznego, oddolnego działania, samoorganizacji, niekontrolowanych kanałów komunikacji i artykulacji poglądów.

Przez długie lata system polityczny Zachodu i okolic był stosunkowo sprawiedliwy. W swym rdzeniu stanowił demokrację. Ugrupowania rządzące pochodziły z wyboru. Funkcjonował nieidealny, ale jednak pluralizm medialny, nierzadko w postaci istnienia masowej prasy partyjnej czy ideowopolitycznej. Instytucje kontrolne nadzorowały pewne minimum kwestii ustrojowych, zapobiegając np. jawnemu łamaniu zapisów konstytucyjnych. Społeczeństwo było zmobilizowane i zorganizowane oddolnie w organizacjach różnego typu i o rozmaitej orientacji ideowej, w ruchach społecznych i związkach zawodowych, które to podmioty i formuły bazowały przede wszystkim na zaangażowaniu i finansach własnych członków i sympatyków.

Nie chciałbym kreślić przesadnie idealistycznego obrazu tego, co w tradycji lewicowej jest nazywane „demokracją burżuazyjną". Niewątpliwie taki system był poddany dużej presji pieniądza, posiadał niejawne powiązania na szczytach władzy i kapitału, używał aparatu represji i przemocy wobec protestów i buntów społecznych, a zasady gry wyborczej wobec radykałów z lewa i prawa wprowadzały co prawda zgodne z prawem, ale jednak oczywiste bariery (jak choćby we Francji, gdzie ordynacja stworzona w celu osłabiania komunistów jest z powodzeniem stosowana obecnie przeciwko formacji rodziny Le Pen). Jednak możliwości swobodnej gry, przeciwstawiania się rządzącym i powściągania dominacji możnych były znacznie większe niż w realiach obecnych, a tym bardziej rysujących się na horyzoncie.

Potęga mamony

To wszystko na przestrzeni lat uległo wielkiej, choć stopniowej zmianie. Była ona skorelowana z niekorzystnymi tendencjami w sytuacji społeczno-gospodarczej – i sądzę, że nie ma w tym przypadku.

> Od początków ofensywy neoliberalnej mamy do czynienia z koncentracją kapitału i pogarszaniem kondycji finansowej mas społecznych. Wiedzie to wprost do zwiększenia roli pieniądza w polityce. Nie chodzi tylko o kwoty, jakimi dziś trzeba operować, aby w ogóle się w niej liczyć i zaistnieć. Zjawisko dotyczy także tego, kto i jak znacznymi środkami dysponuje i wykorzystuje je w celach, jak nazywał to Noam Chomsky, „fabrykowania przyzwolenia społecznego" na politykę elit.

Wielkie kwoty to nie tylko prowadzone z rozmachem kampanie wyborcze. To także ogromne środki wydatkowane na media. Zwraca uwagę niemal zupełny zanik mediów partyjnych i znaczne osłabienie pluralizmu w sferze mediów liczących się pod względem skali odbioru społecznego, a zarazem rozkwit wielkich komercyjnych środków przekazu, które zazwyczaj są wprost lub „podskórnie" zaangażowane po stronie sił liberalnych. Wyjątki od tej reguły są rzadkie – głównie dotyczą USA – a nawet tam, gdzie „prawicowi populiści" rzekomo przeprowadzili „zamach na wolność mediów", chodzi o to, że liberałowie utracili część monopolu, choć nadal dysponują silnymi nośnikami treści (tak jest nawet na Węgrzech, które tylko ignorantom mogą jawić się jako zdominowane przez media sprzyjające Fideszowi). Do niedawna z liberałami powiązane były gigantyczne i *de facto* monopolistyczne platformy cyfrowe – stąd dzisiejsza wściekłość, zajadła krytyka i chęć ich „uregulowania" (wcześniej niemal niewyrażana) w Europie po zmianie właściciela Twittera/X oraz rezygnacji właściciela Facebooka z premiowania liberalnej agendy ideowo-politycznej.

Pozarządowo z oligarchią

Kolejne wielkie kwoty to finansowanie „aktywności społecznej". Środowiska sprzyjające liberałom, wręcz wprost powiązane z nimi politycznie, klasowo, towarzysko i rodzinnie, są beneficjentami ogromnych sum z funduszy kontrolowanych przez finansowe potęgi tego świata. Dzisiaj podmioty „pozarządowe" już zaledwie średniej wielkości, nie mówiąc o gigantach tego sektora, posiadają roczne budżety równe lub wręcz przewyższające te, którymi dysponują duże czy wręcz rządzące ugrupowania polityczne. Nie pozostaje to przy tym w żadnym związku z poparciem społecznym dla takich podmiotów. W sektorze „pozarządowym" nie ma najmniejszego znaczenia np. liczba członków czy sympatyków – wręcz odwrotnie, rozmaite tego rodzaju wydmuszki są budowane odgórnie, za pomocą milionów na „aktywizm" i promocję ich działań.

„Pozarządowość" takich inicjatyw oznacza ich powiązanie z wielkim kapitałem, liberalnymi rządami czy wielkimi środkami ze strony instytucji „hiperrządowych", jak rozmaite organy Unii Europejskiej. Nierzadko chodzi o wszystkie te źródła finansowania jednocześnie. Są to na starcie lub stają się takimi z biegiem czasu *de facto* podmioty stanowiące syntezę elitarnych klik, korporacji i agencji reklamowych. Promują określoną, liberalną agendę tematyczną. Jakakolwiek inna agenda nie zasługuje na wspieranie z tych samych źródeł. „Pozarządowość" takich środowisk polega na mówieniu niemal zawsze jednym głosem z politycznymi liberałami, także wtedy, gdy oni rządzą.

Podmioty takie ułatwiły zresztą demobilizację realnego społeczeństwa obywatelskiego, oddolnego i różnorodnego, niemającego nawet ułamka aktywów posiadanych przez światek „pozarządowy". Wypełniły one także pustkę po faktycznych mobilizacjach społecznych, takich jak ruchy protestu czy związki za-

wodowe. Te ostatnie zostały w neoliberalizmie drastycznie osłabione zarówno finansowo (ubożejące społeczeństwo), jak i strukturalnie (rozbicie przemysłu i stabilności zatrudnienia, dłuższy i bardziej chaotyczny czas pracy itp.). Z kolei „pozarządowcy" są nie tylko pompowani pod względem finansowym, ale i promowani i uwiarygadniani przez wielkie media i struktury władzy jako wiarygodni „partnerzy społeczni" czy wręcz „głos społeczeństwa".

Głos silnych

Z takich środowisk, a także z wielkich liberalnych mediów i z grona intelektualistów-akademików wywodzi się dzisiejsza klasa opiniodawcza. Współdziała tu synteza „słuszności" poglądów, dostępu do wielkich kanałów ich artykulacji i wzajemnej promocji takich środowisk. Wszystko to jest otoczone nimbem eksperckości. Działają one na zasadzie samosprawdzającej się przepowiedni, bo gdy ktoś zostaje wypromowany jako ekspert, to następnie każda jego wypowiedź uchodzi za ekspercką, a uwikłania środowiskowe, finansowe i instytucjonalne są albo skrywane, albo wręcz przeciwnie – uchodzą za naturalne i wiarygodne.

Osoby rekrutujące się z takich środowisk pełnią zresztą rozmaite role zamiennie: raz są dziennikarzami, raz naukowcami, innym razem komentatorami, jeszcze kiedy indziej aktywistami, następnie liderami społeczeństwa obywatelskiego czy opinii publicznej, jeszcze przy innej okazji ekspertami instytucji rządowych itd. Stanowią oni to, co w realnie lewicowej myśli krytycznej jest obecnie nazywane klasą profesjonalno-menedżerską – pewnego rodzaju kastą, która pod pozorami naukowości, obiektywności, wiedzy, eksperckości itp. promuje i wciela w życie liberalną agendę w powiązaniu z potęgami tego świata i w ich interesie.

Jak wskazywał już u zarania opisu władztwa tej grupy James Burnham, niegdyś marksista i trockista, później krytyk technokratycznego liberalizmu z pozycji bliższych konserwatyzmowi, „menedżerowie" zarządzają tyleż wielkim biznesem, ile całą polityką publiczną, oraz aspirują do rządu dusz i roli inżynierów społecznych. Stają się w coraz większej mierze władcami krajów i choć nie posiadają wielkiego kapitału, to działają w jego interesie, a ich władztwo jest duże i rosnące. Krytyczna wobec tego zjawiska tradycja intelektualna, wywodząca się z myśli lewicowej, wskazywała, że „nowa klasa rządząca", biurokratyczno-technokratyczno-opiniodawcza, tworzy się zarówno w real-socjalizmach, jak i w krajach przemysłowo-kapitalistycznych, stanowiąc najkorzystniejszą ścieżkę awansu symbolicznego i finansowego środowisk inteligenckich. O ile u podstaw formowania się „klasy menedżerskiej" czy „nowej klasy rządzącej" leżały nierzadko ideały prospołeczne i chęć reform socjalnych, o tyle dzisiaj jest to ultraelitarna synteza władzy i „właściwych" przekonań, w których duchu należy wychować i ukształtować „ciemniaków". Uzurpacje władców tego porządku sięgają już w zasadzie niemal każdego aspektu życia. Kulinariów, rozrywek czy przedmiotu żartów nie wyłączając.

Kontrolerzy poza kontrolą

Tego rodzaju środowiska stanowią także zaplecze współczesnych instytucji kontrolnych. Co do zasady podział władzy i istnienie mechanizmów kontroli i powściągania koncentracji decyzyjności w rękach jakiejś grupy były słuszne. Czym innym są jednak, po pierwsze, procesy zastępowania wybranej władzy politycznej przez takie instytucje (trybunały, komisje, izby kontroli itp.), po drugie, rosnąca skala i zakres ich prerogatyw i podejmowanej tematyki, po trzecie – przeniesienie ich na poziom ponadkrajowy, co zupełnie podważa sam sens demokracji i swobodę werdyktów społecznych. Tego rodzaju podmioty są w

dodatku coraz częściej tylko pozornie niezależne od rządzących liberałów, bo ich obsada kadrowa zazwyczaj pochodzi z tego właśnie grona. Trudno na serio traktować zapewnienia, że istotnie patrzą one – podobnie jak np. „wolne media" czy „pozarządowcy" finansowani przez liberalną oligarchię – na ręce władzy wywodzącej się tej samej opcji politycznej.

W krajach europejskich to wszystko jest w dodatku wzmocnione unijną strukturą i jej mechanizmami oddziaływania na „niepokorne" rządy i „niewłaściwe" werdykty wyborcze społeczeństw. Agendy unijne jawnie i bez skrępowania propagują „słuszne" rozwiązania i opinie oraz finansują wyłącznie określony przekaz światopoglądowy i ideowo-polityczny, a w grę wchodzą ogromne kwoty. Im bardziej rośnie skala niechęci wobec unijnej centralizacji, im większe jest poparcie dla rozmaicie motywowanego sceptycyzmu czy to wobec Unii, czy jej formuły, czy konkretnych forsowanych przez nią rozwiązań, tym większa presja brukselskiej elity na narzucenie jednomyślności krajom członkowskim i ich społeczeństwom. Jest to w dodatku przedstawiane jako „normalność", choć w procesie integracji unijnej nie pojawiały się i nie były przegłosowywane tak szczegółowe zalecenia i uzurpacje, profil ideologiczny czy możność ingerowania pod byle pretekstem w wewnętrzne poczynania rządów krajowych.

Struktura powołana do ogólnej współpracy gospodarczej i stworzenia wspólnego rynku handlowo-instytucjonalnego zajmuje jawne, stronnicze, ideologicznie motywowane stanowiska w sprawie tego, kogo społeczeństwa krajów unijnych wybierają do rządzenia tymi krajami czy choćby tylko „nadmiernie" popierają – i nigdy nie chodzi o środowiska liberalne. Przy czym obiektem ataków są ugrupowania o rozmaitej ideologii i odmiennych profilach, jeśli tylko pozostają sceptyczne wobec kontynentalnej liberalnej elity i jej światopoglądu, nigdy nie wybranego przez społeczeństwa krajów Europy jako „ideologia europejska".

Nie wiedzieć czemu – i przez kogo – za europejską normę uznano na przykład otwartość na imigrację, choć od lat nieustannie narasta sprzeciw społeczeństw krajów Europy wobec tego procesu. Pod pręgierzem stawiane są ugrupowania tak odmienne, jak „starolewicowy" Smer, chadeko-nacjonaliści z Fideszu, centrowcy z Ano, czescy oldskulowi komuniści, prorynkowi nacjonaliści z FPÖ czy etatystyczno-socjalny PiS, różniący się pod wieloma względami, ale mający czelność wyrażać sceptycyzm wobec coraz większych uzurpacji ze strony brukselskiej elity i liberalnego światopoglądu.

Plecami do rodaków

Warto zwrócić uwagę jeszcze na „ponadnarodowość" współczesnych elit. To jedno z wyjaśnień, dlaczego opór wobec nich przybiera postać przede wszystkim „narodową", a one same odwracają się plecami od swoich rodaków i ich interesów.

Pionierski krytyk obecnych, choć wówczas dopiero raczkujących, zjawisk, rdzenny lewicowiec Christopher Lasch, w książce *Bunt elit* zwracał uwagę na „odlokalnienie" takich środowisk. Pisał on:

Ci, którzy cieszą się z przynależności do nowej arystokracji umysłowej [...] podtrzymują więzi z międzynarodowym rynkiem szybkich pieniędzy, blichtru, mody i kultury masowej. Problematyczne, czy w ogóle myślą o sobie jako o Amerykanach. Z pewnością zaś patriotyzm nie figuruje zbyt wysoko w ich hierarchii cnót. Z drugiej strony „multikulturalizm" doskonale im odpowiada, przywołując przyjemne wyobrażenie światowego bazaru, na którym w dowolny sposób można kosztować egzotycznych kuchni, egzotycznych stylów ubioru, egzotycznych zwyczajów plemiennych i nikt nie zadaje żadnych pytań ani nie żąda jakiego-

kolwiek zaangażowania. Nowe elity są u siebie tylko w drodze, *en route*, na prestiżową konferencję, wielką galę z okazji otwarcia nowego oddziału sieci handlowej, międzynarodowy festiwal filmowy lub do jeszcze nieodkrytej miejscowości wczasowej. Ich spojrzenie na świat jest spojrzeniem turysty – i nie jest to perspektywa, która mogłaby zachęcać do żarliwego przywiązania do demokracji.

Ponadnarodowa elita czuje większą więź z podobnymi sobie komiwojażerami idei i władzy z innych krajów niż z rodakami, a szczególnie tymi z biednego i zdewastowanego „interioru". W międzynarodowym gronie wyznawców „słusznych" idei jest ona bardziej „u siebie", niż gdyby cokolwiek skłoniło ją do bycia wśród „normalsów" z kraju pochodzenia.

Władysław Gumplowicz, jeden z ideologów PPS, pisał już w roku 1908 w książce *Kwestia polska a socjalizm*:

> „Wielojęzycznymi i beznarodowymi zazwyczaj były kliki uprzywilejowane: dynastie, rody magnackie, hierarchie kościelne, które różnej maści owieczki jednymi beznarodowymi nożycami strzygły. [...] Najbardziej beznarodowymi zaś zawsze bywali ci, którzy krokiem olbrzyma-półboga stąpając po karkach zgarbionych milionów, swobodnie i gnuśnie przechadzali się od stolicy do stolicy, od jednego zamku królewskiego do drugiego, od jednych igrzysk dworskich do drugich. [...] Natomiast lud pracujący, czy jęczał w niewoli, czy żył w poddaństwie feudalnym, czy pracował w najmie, zawsze swojską tylko władał mową i był szczerze i głęboko narodowym".

Tak też jest i dzisiaj, gdy kosmopolityczni liberałowie, nieprzywiązani do swojego kraju i jego kultury, dopatrują się wszędzie „demonów nacjonalizmu", a sami wierzą w „europeizm" czy „ogólnoludzki humanizm", w „kapitał nie ma narodowości" itd., podczas gdy bunt ludów wyrażają „prawicowi populiści" lub przynajmniej lewice „narodowe" i nieliberalne.

Ultrasystem

Cały powyżej zarysowany stan rzeczy stanowi efekt koncentracji kapitału i władzy w wąskim kręgu. Jest to skala niespotykana w dziejach i przyjmuje postać nieznanej wcześniej konwergencji dużych pieniędzy, interesów wielkiego biznesu i zarazem jego ambicji opiniodawczych wykraczających poza samo robienie forsy, trendów kulturowych i światopoglądu wąskiej elity odseparowanej na wiele sposobów od społeczeństw i zwykłych ludzi.

> Obecny ustrój nie jest ani socjalizmem, jak chcieliby korwinowcy czy inni libertarianie, ani kapitalizmem rozumianym jako rywalizacyjna gra sił rynkowych, jak chcieliby lewicowcy.

Nie jest socjalizmem, gdyż ważną rolę odgrywa tu wielki prywatny kapitał i jego dążenie do nieskrępowanej aktywności dającej ogromne zyski. Nawet sporadycznie wprowadzane regulacje zazwyczaj nie przeszkadzają wielkiemu kapitałowi, a wręcz wspierają go w dziele wywłaszczania i rugowania mniejszej konkurencji lub ułatwiają zagospodarowanie nowych pól zysku i akumulacji kapitału (widać to choćby w sferze odchodzenia od gospodarki węglowej ku „zielonym" technologiom w modelu stricte neoliberalnym

i wielkokapitalistycznym).

Nie jest też „czystym" kapitalizmem, bo po stronie biznesu gra nie tylko władza polityczna, jak to zwykle bywało w demokracji burżuazyjnej, ale także wspomniana klasa „menedżerska", mająca szerokie ambicje światopoglądowe i znajdująca dla nich sojuszników w świecie wielkich posiadaczy, którzy zamiast tylko gromadzić fortuny i pomnażać je, nierzadko przejawiają uzurpacje w kwestii chęci tworzenia „nowego człowieka". Nie tylko z przyczyn finansowych, choć na rozmaitych formach „wyzwolenia" zarabia się dzisiaj spore pieniądze, ale także, co wprost artykułują wpływowi hiperbogacze, w celu realizacji pewnego ideału światopoglądowego i społecznego, rzekomo lepszego niż obecne wzorce, tyle że bez pytania społeczeństwa, co ono na to.

Państwo ponoć socjalistyczne nie wywłaszcza miliardera Gatesa, a zarazem kapitalistyczny rekin Soros *de facto* trwoni kawał fortuny na projekt stricte ideologiczny. Z jednym i drugim mówi zaś wspólnym głosem technokratyczna klasa zarządzająca instytucjami, opiniami, kulturą, światopoglądem itp., zatrudniona zwykle w instytucjach publicznych, ale zarazem wspierana choćby przez wielkie, całkowicie prywatne media.

Ten system to ani Big Business, ani Big Government, lecz ich synteza, w dodatku nierzadko wywindowana na poziom ponadnarodowy. Bezlitosna dla „szarego człowieka" w każdym z wymiarów jego bytowania: czy to jako pracownika, czy właściciela drobnego biznesiku, czy jako konsumenta, czy kogoś wychowywanego i nadzorowanego przez instytucje, czy „kształtowanego" przez podmioty „pozarządowe". Tu nie ma lewicy i prawicy – jest oligarchia i usłużna wobec niej warstwa „menedżerska" kontra lud w jego rozmaitych postaciach.

Stary bezład

Ten lud jest coraz bardziej pozbawiany głosu i traktowany jako zagrożenie. Jako wręcz balast w systemie, który miał właśnie jemu oddać władzę i właśnie jego werdykty uczynić ostateczną instancją. Dzieje się tak niewątpliwie dlatego, że lud ośmielił się mieć zdanie odmienne od poglądów liberalnej elity. Obecne próby zmniejszania skali decyzyjności ludu są wprost odpowiedzią na jego „narowy". To nie tylko pycha i bezrefleksyjność elit, nie tylko ich pazerność i chęć zagarnięcia jeszcze więcej władzy i pieniędzy. To także kontra elit wobec społeczeństwa, które, jak się okazało, „nie dorosło" do liberalnych zasad i zaleceń, do wizji świata i dobrego życia propagowanych przez liberalnych oligarchów i „oświecicieli".

Doczekaliśmy czasów, w których kumulują się społeczne i kulturowe skutki ofensywy neoliberalizmu. Przez dekady ten system jakoś sobie radził. Napuszczał jednych biedaków na innych, jakoby żerujących na socjalu, leniwych czy nierentownych. Wmawiał im, że każdy może osiągnąć wszystko, jeśli tylko odpowiednio się postara, a winą za brak sukcesu obarczał jednostki, które internalizowały taki przekaz. Łudził, że „niewydolne" publiczne zostanie zastąpione lepszym prywatnym. Mamił – jak kolonizator tubylców świecidełkami – masową produkcją coraz tańszej tandety. Wypychał skutki uboczne na społeczne czy geograficzne peryferia. Ale to coraz mniej działa. Masy są wykluczane i wywłaszczane. Pracują i żyją w coraz mniej stabilnych warunkach. Mieszkania stają się dobrem luksusowym. Szansą na godne życie jest głównie robienie z siebie idioty czy prostytutki w Internecie. Gadżety okazują się tandetne i nie zmieniają naszego życia na lepsze.

Współczesne życie to coraz większa skala problemów psychicznych, samotności, poczucia wypalenia,

przebodźcowania, rozpadu więzi społecznych itp. Zamiast redystrybucji bogactwa, którego nagromadzenie jest bezprecedensowe w dziejach, mamy straszenie głodowymi emeryturami, wydłużanie czasu pracy, zmuszanie do konkurowania z biedotą ściąganą z całego świata itp. Realnie coraz bardziej doskwiera katastrofa ekologiczna (to w biednych uderzy ona najmocniej), a zarazem elita chce z jej skutkami uporać się na koszt słabych, to ich, nie zaś silnych, zmuszając do kolejnych wyrzeczeń, a przy tym namolnie moralizując, że ludzie walczący o przetrwanie „wybierają" – tak jakby akurat oni mieli jakikolwiek wybór – węgiel, samochody i ropę, opakowania plastikowe itp.

„Demokraci" przeciw werdyktom ludu

Gdy społeczeństwa buntują się przeciwko temu stanowi rzeczy i gdy coraz trudniej utrzymać skuteczność liberalnej propagandy sukcesu, zaczyna się dokręcanie śruby. W dodatku drastycznie ono przyspiesza.

Zahamowanie Polsce transferu środków z KPO, choć ich przeznaczenie nie miało nic wspólnego z tematyką „praworządności", a miało służyć odbudowie po bezprecedensowej pandemii. Nieustanne próby osaczania w ten sam sposób Słowacji i Węgier, gdy rządzą tam „niewłaściwi" ludzie. W Polsce odebranie dotacji największej partii opozycyjnej, w dodatku wbrew werdyktowi stosownej instytucji. Pozbawienie Marine Le Pen prawa startu w wyborach przy pomocy prawa stworzonego ad hoc. Unieważnienie wyborów i uniemożliwienie ponownego startu kandydatowi, który przewodził w sondażach w Rumunii. Penalizowanie rzekomej „mowy nienawiści", którą może być wszystko, co nie spodoba się liberalnej elicie i jej pupilom, ale nie jest nią realna notoryczna i masowo nagłaśniana nienawiść wobec „ciemnogrodu" czy „populistów". Zapowiedzi restrykcji wobec ostatniej oazy jako takiej swobody informowania, komunikowania i wymiany opinii, czyli portali społecznościowych. Dążenie do unijnej centralizacji i narzucania krajom rozwiązań sprzecznych z ich interesami i wolą społeczeństw. To wszystko w kontekście wspomnianej gigantycznej dysproporcji sił i środków na korzyść liberalnej oligarchii.

Jesteśmy straszeni wizjami nieliberalnej demokracji, ale na naszych oczach rodzi się liberalna niedemokracja. *De facto* nieodwoływalna i niekontrolowana monowładza liberalnych elit politycznych i wielkiego biznesu. Za fasadą „trójpodziału władzy", „instytucji kontrolnych", „wolnych mediów" itp. jest realizowane dążenie do rugowania głosu realnego społeczeństwa i wszelkich środowisk przeciwnych liberałom krajowym oraz ich kontynentalnej hegemonii. To już dzieje się w Polsce, gdzie wszystkie instytucje i niemal każdy ośrodek medialny są kontrolowane przez liberałów, a ataki na wszelkie niezależne podmioty przybierają na sile. Sądzę, że to dopiero początek takich zjawisk.

Gdyby wizję nieliberalnej demokracji oddzielić od histerii środowisk liberalnych, okazałoby się, że to po prostu demokracja w całej okazałości. Głos i werdykt społeczeństwa niezapośredniczony przez instytucje, niezmącony działaniami rozmaitych lobbies, niesterowany medialnym quasi-monopolem i pouczeniami „pozarządowców" dysponujących grubymi milionami, niepowściągany przez „zalecenia" unijne. Głos ludu, demokracja właściwa.

O władzę ludu, nie klik

Co więcej, nie jest to żadna zbrodnia na gruncie idei. I nie trzeba inspirować się Orbánem ani w ogóle sięgać po wątki prawicowe. Istnieje długa tradycja lewicowej krytyki niepełnej, „burżuazyjnej" demokracji. Mamy w Polsce choćby wywodzące się z PPS i lewego skrzydła ruchu ludowego tradycje wezwań do likwidacji Senatu, jako sabotującego głos sejmowych wybrańców ludu i wypaczającego nastroje spo-

łeczne. Mamy rozmaite wizje samorządności robotniczej/wytwórców, które nie tylko wskazywały na płycizny liberalnej demokracji i samostanowienia za pomocą oddania głosu raz na kilka lat, ale także wskazywały, że społeczeństwo powinno mieć kontrolę nad tak ważnym aspektem życia zbiorowego, jak produkcja i podział zysków z niej. Wpływ przeciwdziałający kumulacji wielkich majątków w prywatnych rękach, które następnie oddziałują na polityczny układ sił.

Mamy tradycje pierwszej „Solidarności" jako masowego ruchu zorganizowanego na bazie miejsc pracy i na podstawie mobilizacji społecznej, a stanowiącego przeciwwagę dla kasty zawodowych polityków (i ich biznesowych sponsorów, dodalibyśmy w dzisiejszych realiach). Polscy syndykaliści z międzywojnia zwracali uwagę, że sama parlamentarna gra sił będzie niejako naturalnie przechylała się na stronę interesów warstw zamożnych lub przynajmniej stępiała oblicze ludowych dążeń i żądań. I że władza silna i suwerenna powinna bazować zarówno na mocy państwa, przy minimalizacji możliwości wpływu biznesu na rządzących (także przez upaństwowienie wielkich przedsiębiorstw), jak i na silnej, nieodświętnej mobilizacji i kontroli sprawowanej przez kluczowe grupy społeczne, czyli pracowników i ich związkowe przedstawicielstwa.

Z tradycji innych warto by przywołać rozmaite dążenia plebiscytarne – demokracja bezpośrednia, referendalna nie stanowi leku na całe zło, ale realną alternatywę wobec niej stanowią całkowicie odgórne elitarne ustawki. Nie od rzeczy będzie także wspomnieć o – w dzisiejszych realiach chyba nawet bardziej aktualnej niż za życia twórcy – wizji bliższej prawicy, autorstwa G.K. Chestertona, który słusznie zwracał uwagę na to, że upowszechnienie drobnej własności produkcyjnej jest bastionem niezależności wobec potęg politycznych i wielkobiznesowych. Sojusz rozmaitych postaci „ludu" – pracowników najemnych oraz rzeczywistego drobnego i produktywnego biznesu (nie mylić z np. pasożytniczymi spekulantami mieszkaniowymi czy mentzenowskim „doradztwem podatkowym") – byłby wskazany w systemie, w którym liberalna niedemokracja wyzuwa masy społeczne zarówno z własności, jak i z wpływu na sferę publiczną.

Jak miałaby dokładnie wyglądać nieliberalna demokracja, czyli realna władza ludu zrzucającego z karku oligarchiczne warstwy biznesowe, opiniodawcze, nadzorczo-unijne, „pozarządowych" samozwańczych inżynierów społecznych, media „wolne" i siedzące w kieszeni bogaczy? Ten temat zasługiwałby co najmniej na osobny tekst lub wręcz namysł w poważniejszej skali. Tutaj moim celem jest zwrócenie uwagi na sam fakt, że im więcej jest straszenia „siłami autorytarnymi" i „zagrożeniem populistycznym", tym bardziej deklaratywni demokraci przejawiają skłonność do zmniejszania, nie zaś zwiększania zakresu ludowładztwa. Wynika to zarówno z zagrożenia ich interesu grupowego, jak i z coraz większych rozbieżności między światopoglądem i postawami liberalnej elity a przekonaniami czy to większości, czy dużych odłamów społeczeństwa.

Zanim wymyślimy konkretne kształty nieliberalnej demokracji, musimy obronić się przed ofensywą liberalnych niedemokratów, którzy są coraz bardziej jawnie i coraz bardziej bezczelnie przeciwko werdyktom ludu i dopuszczaniu do ich swobodnej artykulacji.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=_Rf_kDEBJUE

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/witajcie-w-liberalnej-niedemokracji/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć